

Anima

Simone była drobną żydówką. Ładną, zgrabną;
oczy miała czarne, włosy jak smoła albo głęboka studnia.
Nigdy tego do niej nie czułem. Ta różnica ras
sięgała również zachowań rozrodczych. Łączyła

nas praca. Obecna lub nie, nie tęskniłem, nie zawadzała
mi. Nie była kieszenią mych teorii i przemyśleń,
raczej płachtą, tłem akustycznym. Acz spotkaliśmy się
na skrzyżowaniu uczuć do Cranberries. Raz.

Opowiadałem o zjawisku, że pewne rzeczy nie mają
nazw. Weźmy to, że jak się specjalnie nie angażujesz
w słuchanie, to słyszysz tykanie zegara. A kiedy się wsłuchujesz,

to dźwięk zegara znika. Albo leci nienatrętna muzyka.
Od czasu do czasu zasłania ją jakieś zapamiętanie.

To są muzyczne powidoki. Jakby. Też tak mam —
odpowiedziała. — A jak to nazwać — spytała po namyśle — zobacz,

jest sobie chłopiec. Dostaje w kość albo pozostaje
zwyczajnie niezauważony. Odchodzi, jakoś znika. Po czym

wraca w wielkim androidzie, stalowym kulturyście.
Siedzi w oknie, w jego brzuchu. W obu dłoniach ściska
dźwignię jak operator koparki. To jakiś specjalny rodzaj
rewanżu, zemsta rodem z filmów animowanych.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Berele, dodano 21.01.2018 20:41

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.